

Władysław Graban

Florynka na skraju nieba

(wspomnienie o Grzegorzu Pecuchu)

Na jego oczach otwierały się leśne chaszczce. W głębi, gdzie tylko królowały przerażone olchy, świeciły bagienne młaki wypełnione wodą. Tu w ciepłe noce, kiedy wracały z kartoflisk, kładły się dziki. Świadczyły o tym ślady racic i okrągłe jamy po ciężkich cielskach. Spojrzał na nich i wyobrażał sobie, jak bardzo radosne jest to szczególnie miejsce stworzone przez dziki. Wszyscy kochali leśne zwierzęta.

Ciemną ścianę zarośli tworzyły giganty szarych buków, zaś krawędź lasu rozjaśniały białe brzozy i lśniące siostry - sosny. Ponad nimi pojedyncze jodły, które były bardziej niż zielone w zieleni, dumnie podniosły głowy. Często szarpał nimi silny, zachodni wiatr, ale nie bały się tylko śmiało przechylały swe wysokie jedlinowe czuby. Zaś buki nie zginały się, nie dawały wiatrowi, tylko zręcznie przepuszczały siłę wiatru na przegięcie i gwizdały do siebie. Kiedy spojrzał na buczynę dostrzegł wśród muskularnych ramion mocarnych drzew kształty postaci ludzkich, postacie zwierząt zamieszkałych w kłodach, ramion z konarów i garbatych pniaków. Wydawało się, że byli skurczeni i gotowi do skoku, ale się ich nie bał. Gałąź z ciemnej ściany pradawnego lasu patrzy na niego otwartym rysunkiem. Ciemność wewnątrz była otoczona żółtym proszkiem, jakby to była aureola, a od środka błysnęły dwie świece, ptasie gardła. Słońce ostrożnie otwiera leśne stworzenie i odsłania przed nim tajemnicę. Jednocześnie wierzył, że piękno, perfekcja formy, ukrywa się w żywych drzewach, w miejscach, gdzie ludzie nie wskazywali na swoje istnienie i nie niszczyli przyrody. Przecież te drzewa są nakarmione przez siłę życia, nie bojąc się zmieniającego się kalendarza przyrody. Chył mu czoło, ponieważ sam w sobie jest esencją doskonałości. Godne są stać na zboczach góry, jak na scenie - tworzą galerię sztuki przyrody. Starczy tu przyjść i modlić się w Beskidzie, w ciszy rozmawiać z wiosennym słońcem i napełnić oczy spełnieniem.

Zbliżył się do leśnego stwora, wyciągnął rękę w jego stronę, jakby chciał nakarmić niewidzialną bestię i nagle poczuł liźnięcie językiem. Wilgotna kora leśnego giganta leży na ciepłej dłoni. Wydawało się, że słyszy puls starego buka, w którym soczyste wnętrze wypełnia krew. Wtedy przypomniał sobie tamten wieczór, kiedy był zmuszony do ciężkiej pracy w Niemczech - doznał podobnego wrażenia. Zwaloną wiatrem gruszę bauer kazał porąbać na opał... Nim to uczynił, ukradł z soczystego pnia duszę drzewa - niewielki, odpłowany kawałek klocka. Pieścił go wtedy z wielką czułością i ukrył w ustronnym miejscu. A kiedy nadarzyła się okazja, zamknięta dusza pnia zamieniła się pod jego silnymi dłońmi w jeźdźca na koniu. Starczył zwykły „kozik”, wtedy narodziła się pierwsza rzeźba Grzegorza Pecucha. Jeźdźcem był on sam.

Dziś ten zaczarowany, gruszkowy konik niesie go w las, zboczem Kiczery nad Florynką, stromymi drogami do Karpat. Spoziera Grzegorz na wieżę cerkiewną w dolinie, w której jego tato a wcześniej dziadek byli kościelnymi w cerkwi. Kiedy był chłopcem, często biegał do cerkwi. Ruscy święci, Włodzimierz i Księżna Olga namalowani na wysokich ścianach groźnie patrzyli w jego stronę. Dziś rodzinna wioska ma tylko jedną rodzinę Łemków, Kaniuków.

Z dawnych znajomych pozostały tylko drzewa jego rzeźb. Niosą kudłate łby, a ich wnętrza to skryta dusza wygnañców. Tu kotek łaskawie tuli się do gazdy, tam na skraju lasu jelenie. Opodal chaty szczeka kundel i przywołuje merdając ogonem. Zza starych dębów pradziad z jednym skrzydłem anioła kroczy dostojnie, a nad chatą zdziczały sad. W nim matka i córka rozmawiają, czekając na ojca, który do domu nie wraca. Chociaż mają świąteczne,

pięknie haftowane ubrania, ich twarze maluje niepokój. Na zielonej łące baran dźwiga wysokie rogate czoło, a niby taki z niego kłębuszek? Gdzieś w Uboczy, pod kamieniem, otwiera swe serce chłodna krynica - pędzi wodę do Mostyszy, spieniona jak pegaz i za młynem do Białej wpada. Tam stoi przy drodze figura Matki Bożej przepełnionej bólem o swe dziecię.

Grzegorz schodzi z gór, za nim jego świat swobodnie kroczy ... tam las drzew, las zwierząt, las świętych. Czuwa nad nimi ciche światło kosmosu. Strażony anioł w diabłą wpada skórę i w równym rytmie w szereg wędrowników swój krok dołącza. Idą w parze: Anioł Stróż i Szatan, jelen i ryś, domowy kundel, wilk i niedźwiedź oraz święty z dziupli, który zgrzyta zębami. Schodzą w noc Kupały z gór do Białej, do Mostyszy na Jana. Prowadzi ich pasterz, ojciec tego stada, Pecuch. I powiódł ich nie tylko do tradycji łemkowskiej, powiódł ich do współczesności.

Kiedy jadę przez Florynkę, wspominam spotkanie z Grzegorzem Pecuchem. Miało to miejsce na jubileuszowej wystawie jego rzeźb w Zakopanem z okazji 40. rocznicy zakończenia warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych. Od tego czasu minęło 25 lat. Wracam myślami do żywej, rodzinnej atmosfery w jego chacie. Witali jak rodzinę. Wracam do zielonego Beskidu, który nad jego Florynką goni letnie chmury i zamyka wieczorny widnokrąg. To tu, pośród gór i lasów narodziły się jego rzeźby i on sam. Jego twórczy rodowód sięga prakorzenia - pogańskiej i chrześcijańskiej starożytności. Pozwoli zdobyć wewnętrzną siłę, głęboką prostotę i w taką formę ubierze swoje rzeźby. Wszędzie mówił: „Moje rzeźby są w lesie”. Pecuchowe „drzewo” jest pozbawione szczegółowych drobiazgów, zamykając prostotę długotrwałej egzystencji. To jak gwiazda ludzkiej historii i los zamknięty w jednym. Jego sztuka jest zrozumiała dla ludzi różnych kultur. Źródło czasu, które daje obraz zarówno Europejczykowi jak i Afrykańczykowi. Kiedy rzeźbił, nigdy nie naruszył głównej struktury drzewa, ale delikatnie dłutem otwierał zakrytą formę piękna - odkrywał poetykę drzewa, szlifując go jak diament. Pecuch był autentyczny, nie popadał w manierę podyktowaną współczesną modą. Prace Grzegorza Pecucha przypominają kompaktowe rzeźby starożytnego Egiptu. Są doceniane w całej Europie i Stanach Zjednoczonych. Znalazły także swoje miejsce w setkach wystaw i dziesiątkach muzeów.

Mimo że przeżył tragedię II wojny światowej, nigdy nie miał w sobie nienawiści. Kochał ludzi. To te wartości wyniósł z rodzinnej chaty, a one pozwoliły mu się poruszać twórczo i dostojnie przez życie.

Z łemkowskiego tłumaczył: Dariusz Pecuch